I ROK — ZESZYT IV

MŁODOŚĆ

Czasopismo akademickie
Założone w setną rocznicę urodzin
Adama Mickiewicza

MARZEC 1899

KRAKÓW — LWÓW

TREŚĆ:

KWESTYONARYUSZ W SPRAWIE EKONOMICZNEGO POŁOŻENIA MŁODZIEŻY UNIWERSYTECKIEJ W GALICYI	STANISŁAW UNGER
SURSUM CORDA (POEMAT PROZĄ)	ANTONI MÜLLER
STANOWISKO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ W SPOŁECZEŃSTWIE	IGNACY DASZYŃSKI
O PEWNYM STAŁYM KIERUNKU ZMIAN JĘZYKOWYCH W ZWIĄZKU Z ANTROPOLOGIĄ	BAUDOUIN DE COURTENAY
NIEWOLNICY KRWI (OPOWIEŚĆ SCENICZNA W 3 AKTACH)	ADAM SIEDLECKI
MŁODZIEŻ KONSERWATYWNA O SOBIE	WŁODZIMIERZ ROGOSZ
DYNAMIKA SIŁ SPOŁECZNYCH	BOLESŁAW LIMANOWSKI
Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO	
ODPOWIEDZI OD REDAKCYI	
ILUSTRACYE:	
SURSUM CORDA	WOJCIECH WEISS
ADAM MICKIEWICZ	JAN PISZCZ
KAIN (RZEŹBA)	KS. DUNIKOWSKI
KOŃCÓWKI	STANISŁAW KAMOCKI TADEUSZ NOSKOWSKI

STRON 34.

MŁODOSĆ

PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie i na prowincyi 85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: Kraków, Floryańska nr. 34 — FILIA: Lwów, Łyczakowska 21



SURSUM CORDA.



KWESTYONARYUSZ W SPRAWIE POŁOŻENIA EKONOMICZNEGO MŁODZIEŻY UNIWERSYTECKIEJ W GALICYI. *

1. Wydział? Rok studyów? Miasto uniwersyteckie?
2. Wiek? Wyznanie?
3. Miejsce stałego zamieszkania ojca i stan jego?
4. Ile lat kolega był w gimnazyum?
5. Czy będąc w gimnazyum utrzymywał się sam, czy miał pomoc z domu?
6. Jak wpłynęła na stan zdrowia nauka w gimnazyum?
7. Jakie braki pod względem naukowym uczuł po ukończeniu gimnazyum?
8. Co wpłynęło na wybór fakultetu?
9. Czy przebywa podczas roku szkolnego w mieście uniwersyteckiem czy na prowincyi?
10. Ilu kolegów wraz z nim stale w mieście prowincyonalnem (wsi) przebywa?

---

* Spodziewamy się, że przedsięwzięcie redakcyi »Młodości«, które ma na celu zbadanie położenia ekonomicznego młodzieży uniwersyteckiej w Galicyi, spotka się ze zrozumieniem wśród ogółu akademików. Pragniemy wyświetlić przyczyny składające się na upadek fizyczny i duchowy naszej młodzieży. Źródło złego leży bezwątpienia w stosunkach ekonomicznych i pytania kwestyonaryusza dążą dlatego do jaknajdokładniejszego objęcia materyalnej strony bytu młodzieży; odpowiedzi na nie, wraz z odpowiedziami ogólniejszej natury, złożą się na dokładny obraz warunków życia i rozwoju dzisiejszej młodzieży akademickiej.

Skutki bezpośrednie ankiet tego rodzaju są zwykle małe, i my nie spodziewamy się nagłego polepszenia warunków bytu; ale prócz naukowego materyału wielkiej wartości, przyniesie nam ona niezbite, statystyczne dane istnienia pewnych niezdrowych stosunków w społeczeństwie, poruszy umysły tych sfer — których obowiązkiem zajmować się młodzieżą — silniej i intensywniej, niż to uczyniły artykuły gazeciarskie stronnicze i pełne frazesów, i zmusi je do zastanowienia się i do próby poprawy złego, a w nas samych wzbudzi solidarność zrodzoną z wspólności interesów i dążenie do samopomocy. Wierzymy, że młodzież nasza pozna się na ważności podjętej przez nas pracy i skrupulatnem, zgodnem z prawdą wypełnieniem formularzy przyczyni się do udania ankiety.

Z końcem marca rozpoczniemy wydawanie kwestyonaryuszy, których rozszerzaniem we Lwowie i w Krakowie zajmą się redakcye »Młodości«. Kolegów gotowych w miastach prowincyonalnych przeprowadzić ankietę, prosimy o wejście w porozumienie z redakcyą.

Termin nadsyłania blankietów do redakcyi — 1 czerwca 1899.

11. Czy uczęszcza na wykłady regularnie, nieregularnie, czy wcale nie?
12. Jeżeli nieregularnie lub wcale nie, dlaczego?
13. Przez ile godzin dziennie przeciętnie oddaje się studyom uniwersyteckim? ile minionego roku szkolnego?
14. Czy oddaje się po za studyami uniwersyteckiemi pracom naukowym i jakim?
15. Czy bierze udział w życiu społecznem i w jaki sposób?
16. Jak wielkie ma dochody miesięcznie?
17. Z jakich źródeł te dochody płyną?
18. Jeżeli z własnej pracy: czy z lekcyi, czy z pisarki, czy z innego zajęcia?
19. Ile godzin dziennie pracuje dla zarobku?
20. Jaką pobiera płacę?
21. Jaki jego stosunek do pracodawcy?
22. Czy i jak sposób zarobkowania wpływa na zdrowie i studya?
23. Ogólne uwagi dotyczące dochodów i sposobu zarobkowania.
24. Ile wydaje miesięcznie na utrzymanie?
    a) na mieszkanie;
    b) na jedzenie;
    c) ubiory, bielizna etc.;
    d) rozrywki;
    e) inne wydatki.
25. Czy mieszka sam, czy z kim innym? Wiele osób zajmuje pokój?
26. Jakie są warunki hygieniczne mieszkania? (wielkość, czystość, oświetlenie).
27. Ile razy dziennie jada?
28. Z czego składa się śniadanie?
29. Z ilu potraw i jakich składa się obiad?
30. Gdzie się stołuje? (prywatnie, w kuchni akademickiej, w restauracyi).
31. Co jada na kolacyę?
32. Czy nie jest stale słabym na piersi, serce i żołądek, gardło?
33. Czy w rodzinie nie ma dziedzicznych chorób? (suchoty, szkrofuły, wady serca).
34. W którym roku życia rozpoczął obcować płciowo?
35. Jak często utrzymuje stosunki płciowe?
36. Czy ma lub miał choroby weneryczne?
37. Ogólne uwagi co do życia akademickiego pod względem ekonomicznym.
38. Ogólne uwagi co do życia akademickiego pod względem hygienicznym.



Adam Mickiewicz

Według rysunku, przypisywanego Delacroix.

SURSUM CORDA.

Ostapowi Ortwinowi.

Na moją odkrytą głowę padają ważkie, obrzękłe wilgocią, ciepłe krople dżdżu wiosennego. Uderzają o czaszkę monotonnie, powoli i dźwięczą głucho, jak łzy, kiedy się toczą srebrną nitką na metalowe wieko trumny...

...Ciepłe krople dżdżu wiosennego padają cicho na mój mózg, nad którym zawisł wielki dzwon melancholii i żłobią w jego grząskiem podłożu wąskie, kręte koryta i poszarpane ostro łożyska. Mętna woda bije o brzegi siłą nawalnicy, rozpryska się i rozkrapla w tysiące puszystych pióropuszów, tryska w górę, uderza o strop i z nową siłą pada senna znużeniem w kręte podziemne chodniki. Wije się cicho bluzgocząc szklaną falą, prycha pianą na brzegi, podnosi się, wzdyma — już brzegów dosięgła sinym odmętem i z hukiem powodzi rozlewa się szeroko, tworząc stojące upiorne wodne uroczyska...

Wyspa umarłych! Wypłukane kipiącą falą bieleją nad brzegami długie szeregi odartych z ciała kości umarłej karawany, która niegdyś z wesołym śpiewem na ustach i z zapałem w oczach broczyła przez grząskie sino-krwawe wód rozlewy, póki nie zmarzła w zimie i ciemności. Pozostał jeno jej przewodnik, cichy i milczący, jak ów kraj histerycznych widzeń i upiorów i sztywnymi palcami wpija się w obiecaną ziemię, bezzębne wargi przytula do czerwonych żył strumieni, tarza się w gorączkowych konwulsyach po fosforycznie

świecących kościach umarłych towarzyszy, a czerwona krew zmieszana z wodą ocieka długiemi soplami z jego warg. W duszy mu pieśń szaloną zawodzi rozpacz i beznadziejność — i wielki, bezbrzeżny głód słońca: — próżno wytęża zakrzepłe od obrazów przerażających widm sennych, próżno wyciąga błagalnie chude, nagie ręce w mroczną bezgwiezdną dal — słońce zgasło już w tej krainie, w której wszelkie życie mrze i sztywnieje, gdzie ciągły mrok otula w swe ponure skrzydła myśli i pragnienia...

Skamieniałe szczątki moich myśli leżą nagie i szpetne swem bezżyciem na powierzchni bełkocących złowieszczo fal, póki nie spoczną na dnie upiornych uroczysk. Wnet rozpostrze nad ich grobowiskiem mętny lód swą oponę i leżeć będą niepogrzebane, nie opłakane na wieki...

Nie chcę! nie chcę! Puśćcie mnie!

Gdzie mnie wiedziecie, wy fałszywi prorocy jutrznianego jutra? Czemu krępujecie mi ręce, że aż krew z nich się sączy cieniutką purpurową szarfą — po co mi gryziecie duszę rozwiewnemi widziadłami? Ja znam was! Ja znam te chwile rozkosznych rojeń, po których myśl z połamanemi skrzydły słania się w beznadziejną bezdeń. Nie chcę was! Puśćcie!

Dajecie memu wzrokowi szybkość i przenikliwość grotu, który lata całe leci rozpętaną siłą rozmachu w dal i nigdzie nie odetchnie, nigdzie nie spocznie, nie ujrzy bladej, migotliwej gwiazdy, zawieszonej w wszechświecie, na której łonie nowe siły mógłby zaczerpnąć — wiecznie tuła się i błąka w labiryncie mroków — bez końca...

Przypinacie mi ikarowe skrzydła i każecie lecieć w górę, w słońce i mówicie: jeszcze jeno miliard mil... A kiedy po całych latach tułaczki pytam was, kędy cel mego lotu, powtarzacie ciągle to samo: jeszcze jeno miliard mil!... I tak wiecznie...

Pragnienia moje układacie na prąd wichrów, abym się w mojej bezsilności rozbił o urwiste szczyty skał i utonął w nietopniejących nigdy lawinach górskich.

Myślom moim dajecie lot orkanu, co morza rozburza do głębi i wygrzebuje z odmętów zapadłe miasta i byty, i ciskacie w uszy beznadziejne tony podmorskich dzwonów, aby mi duszę zeżreć rdzą przekleństwa...

Ja się was boję! puśćcie mnie!

Stoję na wniebosiężnej błękitnej wieży mojego wieku i patrzę w dół. Przez długie, pyłem i rozgwarem przesiąkłe brukowane ulice walą się na oślep przed siebie rozhukane tłumy ludzkich pokoleń. Parte z tyłu padają na twarz, w rozpacznej walce o życie chwytają kurczowo za nogi następujące, by choć o chwilę przedłużyć męki istnienia. Ale już nowe wały tłoczą się po nich, tłoczą po krwi, która bluzga w ich spocone, cuchnące twarze i zataczają się przez kłęby bezkształtnych głów i tułowiów dalej, dalej wciąż przed siebie.

Widzę wielkie, świetlane myśli tratowane stopami tłumu, patrzę na tłum deptany przez siłę i przemoc — patrzę na siłę, która na tryumfalnym rydwanie, ugniatającym pochylone barki wiecznych swych niewolników, święci krwawe zwycięstwo...

Ja modlę się do bezsilności! do niemocy, do niebytu się modlę! oczy moje zwracam w śniedź przeszłości i w błękitny rozblask bezsennych marzeń. Do niemocy się modlę — czegóż chcecie odemnie...

Jestem bezdomnym wygnańcem, nie żądam już niczego, niczego już nie pragnę, tylko snu i spoczynku. Brak mi nawet sił, bym wyrzekł to słowo: »pragnę« — i boję się chwili, kiedyby moje pragnienie stało się cudem i ciałem. Miejcie litość nad bezdomnym wygnańcem...

Spojrzyjcie w moją duszę: pęk robactwa i zapach trupi. Czegóż żądacie jeszcze od niej.

Nad głową mi huczą i zawodzą wiatry swój niezrozumiały potężny hymn wiecznego istnienia. Chaos walki i hejnały zwycięstwa... Nagie, bezkształtne cielska przewalają się pod gwiazdami, toczą śmiertelne zapasy, buchają w niebo parą i odmętem — kłębią się, kotłują, chychocą i łkają... Zasłona nieba przedziera się przez pół i zionie w ziemię ognisty deszcz, który wypala swym duszącym żarem każdy ślad, wyciśnięty moją stopą na ziemi... Ludzie kryją się po norach i ostępach leśnych, stężałe przerażeniem źrenice wznoszą w niebieskie roztopy i żują blademi wargami niezrozumiałe słowa modlitwy do nieznanego Boga. W głowie mi huczy powódź ich strachu — rozpętany szał ekstazy drze i strzępi mą duszę i jakieś niepokonane pragnienie roztopienia się w tym chaosie pękających światów dnieje w myślach.

Jeszcze chwila: już wpływam w sam wir orkanu i składam na kipiących, zawrotnych wirach lodowate skronie...

Umrzeć! umrzeć w taką noc szaloną! Śmierci pragnę, nie walki — słyszycie?...

W dziecinnych moich latach, kiedy mnie w ciche, słodkie wieczory uczyła matka pacierza, dodawałem zawsze serdeczną prośbę do wielkiego Boga, by mi pozwolił umrzeć na wolnej ojczystej ziemi. Czyż wy nie pojmujecie tego, jaki bezbrzeżny żal dławi serce sieroty, kiedy jego rówieśnik wypowie to kochane, święte słowo, na którego dźwięk wstają w duszy wschody słoneczne: »ojciec«... Z narodu pogrobowców jestem — i dlatego wiecznie smęcić się będzie moja dusza, póki nie zamilknie na wieki.

Puśćcie mnie! Niechaj złożę zimne skronie na rozszalałym orkanie chmur i usnę bezboleśnie na wolnym ich całunie. Będzie się wtedy przez wieczność śniło mojej duszy, że wielki mój Bóg przyjął ofiarę pierwszej komunii osierociałego dziecka i siłą swej wszechpotęgi wyrzekł twórcze: »Stań się«...

A może wtedy ze snu mnie obudzą na nowe życie piorunne słowa: »Stań się wolna ludzkości!«

Puśćcie mnie — pozwólcie mi umrzeć wolnym...

...Huragan się uciszył. Chmury skąpane w różowości zachodu, uleciały w świat, jak żagwie z płonącego nocą miasta i na niebie zakwitły wilgotne, tajemnicze źrenice błękitnych gwiazd. A ja stoję na odludnym cyplu skały i modlę się do Niemocy...

Rozhukana lawina wali się przez roztoki skalne ku szczytom. Nieprzeliczona lawina głów ludzkich, która w sinym, mglistym półmroku stapia się w jedno bezbrzeżne, tajemniczo szumiące morze. Zbliża się ku mnie powoli, majestatycznie, ale bez ustanku — rozlewa i rozgałęzia swe tysiączne odnogi jak prąd powodzi po wszystkich żlebach górskich, rozprzestrzenia się dookoła i zwartym pierścieniem, który coraz bardziej ściska się i pęcznieje prze w górę. Słyszę jakieś zmieszane, niezrozumiałe głosy: chór potężnieje i spływa w jeden rozpaczny, powszechny śpiew tysiąców, w jedną rozpaczną modlitwę o nadzieję.

Jakiś straszny lęk i przerażenie dławi mi gardło — próżno szukam choćby najwęższego przesmyku, przez który zdołałbym ujść strasznej nawale — daremnie mętne strachem źrenice ciskam w mroczną przestrzeń: samotny i opuszczony stoję na pustym cyplu skalnym i nie mam nawet o co płonącej głowy oprzeć, by wytrzymać zalew. Czuję, że mnie wkrótce pochwyci i porwie swym szalonym rozmachem i będę musiał razem z nimi toczyć się wprzód, zwilżać spragnione usta własną krwią, padać ze znużenia i znów powstawać i biedz bez końca pod parciem mrowia. Będę musiał z nimi płakać i modlić się i wyć o nadzieję — i z bóstwa stanę się pokornym sługą, z osi, około której cały glob moich myśli i pragnień i cały wszechświat wirował, stanę się marnym, bezsilnym atomem, prochem — pyłkiem kwiatów, który wichry podają sobie z dłoni do dłoni, póki nie rzucą go gdzieś w samotnię ku wybujaniu lub zmarnieniu. Ja — ja! dotychczas potężny mocarz w swej niemocy, mam się stać znikomą cząstką, marnym potencyałem siły, której rozlewności i celu nie mogę pojąć?...

Oto już przy mnie — już mnie pochłania w nieskończoną masę swego polipowego cielska — już zagłusza mą myśl rozpętanym jękiem i wzdychaniem i muszę iść za nią, czołgać się, tarzać, jęczeć i zawodzić — bez kresu...

Próżno wyciągam dłonie ku mojej rozkosznej samotni, próżno błagam zmiłowania: nikt nie słyszy mego rozpaczliwego głosu w ogólnem rozpłakaniu i jęku, i toczę się naprzód i naprzód, a moja dusza krwawi, jak serce wyrwane żywcem z piersi.

Moje gniazdo naskalne ginie w mroku i oddaleniu.

Na obszernej bezsłonecznej pustej przestrzeni stoją omszałe, z ciosów skalnym mozołem wieków budowane, całopalne ołtarze. Na każdym z nich potrzaskana lutnia leży i uschły mirtowy wieniec. A dalej, jak okiem sięgnąć, bezkresne cmentarzysko mogił rozrzuconych kopytami końskiemi, stratowanych stopami tłumów, które tędy od lat dziesiątek przechodziły i tylko tu i ówdzie szarzeją szczątki niedojedzonej strawy lub świecą jaskrawo gwiazdy porzuconego złota. Powietrze tak przesiąknięte mgłą i zaduchem, że w niem rozpaczne wycie tłumu milknie i zamiera. I stają wszyscy w bezradnem osłupieniu, patrząc rozszerzonemi źrenicami w tę pustkę i martwotę, i boją się krokiem stąpić dalej w rozciągające się przed nimi królestwo śmierci i milczenia.

Głucha, blada cichość zalega przestrzeń, że słychać taniec mgieł, przewalających się przez martwą ziemię i słabe bicie serc i wibracyę krwi.

Nagle podnosi się z mgieł rozpląsana, wszechpotężna pieśń. Każdy jej ton ognistą rakietą uderza w górę, odbija się tysiącznym zygzakiem o sklepienie mgieł, ryje znów ziemię i znów się wznosi, pryska snopami oślepiających skier, wiruje szybciej i szybciej, aż do opętania i zatacza ogromne świetlne kręgi, porywając za sobą w szalony wir serca i myśli. Dwa słupy rozgranego powietrza uderzają się wzajemnie wichrowemi piersiami — mącą się, kotłują, żrą ziemię, piaskiem w oczy sypią przerażonym tłumom — wyją orkanem huraganu. Jeszcze chwila a orkan w zawrotnych wykrotach porywa się w niebo, olśniewającą błyskawicą przedziera powietrze i aż w głąb ziemi bije grom stugębnem echem, które dzwoni w przestrzeni, jak huk zderzających się planet. Tłum słania się w przerażeniu i trwodze i pada na twarz przed majestatem Pieśni.

Głos leje się rozhukaną falą w bezmiary. Dźwięczy cicho, jak ostatnie akordy milknącej pieśni, wzmaga się, potężnieje, rośnie — huczy upomnieniem i nawoływaniem — przelewa się modrą, szepczącą falą przez serca i potrząsa metalowym orężem groźby. Dusza tłumu mdleje od niepojętej treści, która trąca wciąż i bez ustanku w tę samą strunę, strunę zerwaną od dawna, wydającą świszczący, chrapliwy oddźwięk. I nagle podnosi się ogromny, przejmujący do głębi krzyk:

»Nie pojmujemy tej pieśni«...

A dźwięk wciąż szarpie i targa tę samą zerwaną strunę duszy:

»Drogowskazami jesteście na rozdrożu wieków. Nie do was przyszłość należy, ale do dzieci waszych i do dzieci waszych dzieci. Podnieście czoła i wejdźcie do świątyni waszych serc. Gruz uprzątnijcie z ich wnętrza i uświęćcie pohańbione ołtarze. Stańcie u progów domów modlitwy, proste szaty kapłanów przywdziejcie, a modlitwa wasza niech będzie jak orkan silną, jak morze rozlewną, jako szept serc skruszonych prostaczą. I niech w niej mieszka proroctwo przyszłości. A głos wasz stanie się ciałem.

»Drogowskazami jesteście. Struny harf waszych zerwane próżne są mocy,

by oddźwięczały na hejnał przedświtu. Ale bijcie się w piersi i patrzajcie, aby się w waszym upadku i rozełkaniu beznadziejnem nie poszarpały serdeczne struny tych maluczkich.

»Rozdźwięczne harfy, które myśl wieków powierzyła waszym dłoniom, nastrajajcie na męski, nadziejonośny ton, aby młodsi wasi bracia nie otrzymali w spuściźnie połamanej lutni, której dźwięk jeno narzekaniem a rozpaczą.

»Rozpacz waszych ojców i zniechęcenie rdzą powyżerało wasze serca. Przetopcie je w ogniu słonecznych pożądań, aby trąd nie wssał się w krew waszych bliźnich. Zapomnijcie o marnych liściach dębu, które rok rocznie padają z wichrem jesiennym ku pognojowi ziemi, a pamiętajcie o sokach żywotnych, przebiegających jego rdzeń.

»Strójcie — strójcie serca wasze, których harmonię macie przekazać tym maluczkim.

»A pomnijcie, że jeno drogowskazami jesteście na rozdrożu wieków«...

Pieśń milknie... jakieś półmroczne dnienie wsiąka w powietrze. I słychać tylko, jak wiatr idący od północy sypie pełnemi garściami niewidzialne nasienia po rozkopanych grobach i czuć szeroki, surowy i wilgotny zapach ziemi, kiedy z wiosną taje i hołubi w swem sercu zaczątki przyszłego życia.

Tłum leży krzyżem na ziemi i wielki płacz zalega dniejący obszar. Wśród głuchego nieba półmroków i łkania zapalają się powoli, jak ślepia bławatów zakwitających słonecznym rankiem wśród zboża, migotliwe oczy najmłodszych z żyjących — jak wilgotne źrenice błękitnych gwiazd... błękitnych gwiazd...

A ja stoję na odludnym cyplu skały i modlę się do tych wilgotnych, tajemniczych, błękitnych gwiazd jutrznianego jutra...

Lwów. Antoni Müller.



IGNACY DASZYŃSKI

STANOWISKO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ W SPOŁECZEŃSTWIE

Sam tytuł powyższy już spory wywołać może. Czy jakaś kategorya wieku ludzkiego, ograniczona w dodatku do jakiejś małej grupy, mogącej się poszczycić świadectwem dojrzałości uzyskanem w szkołach średnich, czy ta, tak bardzo uwarunkowana kategorya, może wogóle zająć jakie wyraźne stanowisko wśród społeczeństwa?

Czy ci kandydaci na teologów, lekarzy, prawników i nauczycieli lub inżynierów mają nas bardziej interesować, dopóki egzaminów nie pozdawali jeszcze? Dlaczego nie pisze się artykułów o młodych praktykantach na cieśli lub murarzy? Przecież jest ich dziesięć razy więcej.

A jednak sprawy »akademików« obchodzą społeczeństwo w znacznie większym stopniu, niż sprawy innej młodzieży. Dlaczego? — Spróbujmy zanalizować.

Im ciemniejszy kraj, tem bardziej tytuł »akademika« otoczony aureolą i chlubą. W najbardziej nowoczesnem społeczeństwie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn., niema prawie żadnej różnicy między »akademicko« wykształconym człowiekiem, a innym śmiertelnikiem. Europejski dyplom uniwersytecki traktują tu raczej z pewnym sceptycyzmem wyższości. Inaczej w Rosyi, gdzie akademikom przyznano mundury, szpadę i wiele specyalnych przywilejów. W jednem zaś i tem samem społeczeństwie byli »akademicy« niegdyś przed wiekami wielce uprzywilejowaną grupą, podczas gdy dzisiaj każdy rok z dawnych przywilejów ich odziera, znaczenie zmniejsza, honorów skąpi.

Kilka czynników gra tu rolę wybitną. Najpierw ogólny upadek społeczeństwa s t a n o w e g o. Wiedza przestała należeć do cechu. Berła uniwersyteckie, togi rektorskie, łacińskie formułki pozostały taką samą pustą formą, jak insygnia cechu »sławetnych« krawców lub szewców. Po za uniwersytetami i wbrew uniwersytetom, zdala od urzędowej nauki pasował się duch ludzki z tajnikami przyrody; birety i togi umiały częściej kląć i przeczyć, niż badać i drogi torować. Filozofia szkolna zasklepiła się w sobie i zaschła na mumię, a błyskawice prawdy i geniuszu rodziły się coraz częściej na poddaszach, wśród huku maszyn, w laboratoryach i warsztatach. Co tu znaczył dyplom, przywilej, toga, biret?... *Spiritus flat, ubi vult.*

Ogromny wzrost oświaty wśród mas ludowych obniżył znaczenie monopolu naukowego uniwersytetów; demokracya społeczeństw odjęła wszystkie niepotrzebne już formy i odznaki.

A przecież pozostało jeszcze wyjątkowo zaszczytne stanowisko »akademika«. Dzisiaj składa się ono z dwu składowych czynników; najpierw z różnicy między pracą umysłową a fizyczną, a następnie z praktycznego zużytkowania uniwersytetów przez państwo.

Wybitna różnica między fizyczną a umysłową pracą jest znamieniem drugorzędnem w dzisiejszem społeczeństwie. Pierwszorzędnem jest różnica w posiadaniu majątku.

Bogaty bałwan może swego lekarza domowego, adwokata lub dyrektora swej fabryki traktować z góry i dawać im uczuć wszystkie ciernie majątkowej zależności. Ale naodwrót: akademicko wykształcony »głodomór« patrzy na szewca lub ślusarza z miną istoty nieskończenie wyższej. Skąd to pochodzi? Pytanie to jest tem ciekawsze, że zdaje się napozór przeczyć ustrojowi kapitalistycznemu. Tymczasem, jest ono jego wynikiem. Ów »głodomór« z akademickiem wykształceniem należy często do »zdeklasowanych«. W domu u rodziców jeszcze był dostatek, »dobra familia«, delikatniejsze wychowanie; więc chociaż potomek »dobrej familii« pije na poddaszu herbatę i przegryza suchą bułkę, czuje się czemś wyższem, lepszem, niż robotnik zarabiający dwa razy tyle. Odziedziczona stopa życiowa trzyma na swoim poziomie cały kompleks uczuć i nałogów z wytrwałością, dającą się objaśnić jakąś inercyą gatunkową chyba.

Wytrwałość ta ma nietylko znaczenie narządu szczątkowego, ale liczy się także z karyerą, do jakiej dzisiaj praca umysłowa jeszcze zawsze uprawnia. Głodujący prawnik, lub medyk marzyć może o bogactwach; teolog o tłustem śnić może probostwie, filozof o dziełach, które tysiącami rozchodzić się kiedyś będą po świecie.

Ale ta szara rzeczywistość nielitościwie się z marzeniami podobnemi obchodzi. Rozwój kapitalizmu idzie coraz dalej: ogarnia powoli całą dziedzinę ducha ludzkiego; degraduje tego »akademika« i jego przyszłość do kategoryi zarobkowych, w których zarobek określa się najpierw kosztami produkcyi, a potem popytem i podażą...

»Honor« stanu ratuje jeszcze państwo, potrzebujące masy biurokratów, dające im aureolę »organów władzy«, pensyę, awans, emeryturę i zabezpieczenie wdów i sierót. »Akademik«, dawny adept nauki, uwieszony u karmicielki, piersi »*Almae matris*«, staje się dziś zawczasu kandydatem na urzędnika-biurokratę i w tem szuka odznaczenia od szeregu gminu zwykłych obywateli.

Gdybyśmy więc na podstawie tej króciutkiej analizy socyologicznej przyjrzeli się poczuciu »akademickiej« godności, zobaczylibyśmy tu szczątki dawnej cechowości, trochę zamiłowania czystej wiedzy, odziedziczoną »stopę życiową«, marzenia o karyerze przyszłej i bardzo, ach jak bardzo wiele obliczeń stopni i pensyi urzędniczych.

To duchy przeciętne, masa »akademicka« dzisiejsza, zostająca pod przemożnemi wpływami społecznymi.

I chociaż niejednego z nas zaboli taka analiza, choćbyśmy chętnie przeciwko niej protestować pragnęli, zjawiska przeciętnego świata »akademickiego« będą takiemi, jakiemi pod określonymi wpływami być muszą.

A przecież buntuje się przeciwko tym pojęciom historya. Ta historya, która widziała w Paryżu spiski studenckie, a chwałą okryła naszych »belwederczyków« i naszych ofiarników z r. 1861—63. Legie studenckie w Niemczech, ruch »Burschenschaftów« z epoki odrodzenia Niemiec, cierpienia rosyjskiej i polskiej młodzieży w pojedynku jej z caratem, to wszystko wskazuje na niesłychaną wrażliwość młodzieży uniwersyteckiej na ruchy etyczno-polityczne. Wspaniałe to karty dziejów młodzieży, cóż kiedy obok nich widzimy spiski rojalistyczne studentów francuskich, a u nas nawet przeszliśmy przed rokiem orgię młodych »żywiołów porządku«, napadającą robotników i kijem broniącą autorytetu upadłego prezydenta ministrów...

Czy wrócą legie, barykady, rewolucyjne korporacye studenckie?

Wątpić w to się godzi. Walka społeczna rozszerzyła się i pogłębiła; w masach tworzy się ewolucya pojęć tak gruntowna, że wobec niej »radykalizm« sentymentalno-rewolucyjny byłby igraszką niepotrzebną. Myśl ludzka wsparta na potężnych koniecznościach procesu produkcyi i wymiany, sięga dalej, niż by dojść można drogą barykad i walk ulicznych. Brak młodzieży akademickiej owych impulsów, działających dawniej na masę podniecająco; ciężka praca wśród jedynego rewolucyjnego czynnika czasów naszych: proletaryatu, ta raczej odstrasza swym ogromem i systematycznością, niż pociąga. To też z dwóch tysięcy »akademików«, zaledwie jeden procent zajmuje się nią w Galicyi. Reszta pozostaje zaprawdę w zupełnym indyferentyzmie wobec zagadnień, które dzisiaj wstrząsają społeczeństwem.

Doszliśmy może dzisiaj do punktu zerowego, bo tradycye powstańcze wygasły, a raczej zostały ugaszone wśród młodzieży, frazes pracy organicznej nigdy młodzieży nie pociągał i pociągać

nie mógł, a nowe idee nie nabyły jeszcze owej siły, jaką odznaczać się muszą, aby przeniknąć większe grupy młodzieży owym idealizmem, czy ideologią społeczną i etyczną, jaka wyrasta na podkładzie nowych klas, dążących do swej emancypacyi.

Tu przerwijmy, aby się zapytać, dlaczego tylko o czynnikach etyczno-społecznych mowa? Dlaczego nie uwzględniamy reformatorskich kierunków w naukach ścisłych lub w dziedzinie sztuki? Odpowiedź prosta: czysto ideowe procesy odznaczają się najmniejszą siłą motoryczną, a estetyczne kwestye w społeczeństwie nie mającem niemal co jeść i w co się przyodziać, odgrywają w gruncie rzeczy niezmiernie małą rolę. Jest wprost rzeczą niemożliwą, uważać młodzież »akademicką« za adeptkę czystej nauki; takie rzeczy mówi się z katedr lub przy uroczystych okazyach, ale nikt naprawdę w to nie wierzy. Nauka ma swoich kapłanów, którzy jej w ciszy bibliotek i laboratoryów służą; młodzież jako taka nigdy się w całości tym procesom myślowym pochłonąć nie dała i i nie da.

A sztuka? I ta nie pochłonie młodzieży. Można wprawdzie dzisiaj wśród naszych grup »akademickich« obserwować pewien fanatyzm kultu »nagiej duszy«, czy jak się ów estetyczny absolut nazywa, ale uprawianie owego kultu polega w wielkiej części na tem, żeby wieszcza nikt nie mógł zrozumieć... Jest to szczególny arystokratyzm mózgu i serca, pastwiący się tak chętnie nad zdrowym rozsądkiem, sensem, rytmem, rymem i wogóle pięknością mowy ludzkiej, że społeczeństwo musiałoby najpierw stać się bezładną zgrają anarchistów myślowych i uczuciowych, aby kult »nagiej duszy«, taki, jakiego próbki przed sobą widzimy, mógł się stać ogólnym i zapanować. Do tego zaś jeszcze nadzwyczaj daleko.

Oto dlaczego zajmowaliśmy się głównie motywami etyczno-społecznymi.

Nie chcielibyśmy, aby nas fałszywie zrozumiano; nie zwalczamy wcale idealizmu u młodzieży, bo jest to rzeczą niemożliwą. Młodzież musi być idealistycznie nastrojoną; cała rzecz w tem, czy ten idealizm będzie wyrastał na podkładzie np. patryotyczno-powstańczym, czy społeczno-rewolucyjnym, czy burżuazyjno-kapitalistycznym, czy bigocko-biurokratycznym, czy będzie silnym, czy słabym.

Jakiegoś »absolutnego« idealizmu, radykalizmu, postępowości i t. p. nie ma wśród młodzieży. Przydałoby się to rozeznanie tym wszystkim, którzy tak dużo deklamują o powołaniu i roli akademickiej młodzieży w społeczeństwie.

Kraków w lutym 1899.

BAUDOUIN de COURTENAY.

O PEWNYM STAŁYM KIERUNKU ZMIAN JĘZYKOWYCH W ZWIĄZKU Z ANTROPOLOGIĄ.

(Dokończenie.)

Jaka tedy jest »przyczyna« tego stałego ogólnego kierunku zmian fonetycznych? od czego ten kierunek zależy?

Czy to jakiś nakaz z góry? jakieś przeznaczenie, włożone w język, a będące wynikiem celowości przedistnieniowej?

Bynajmniej.

Ów kierunek zmian językowych jest po prostu skutkiem dążenia do możliwego oszczędzania pracy, do ekonomii pracy w trzech znanych nam kierunkach: w kierunku fonacyjnym, audycyjnym i cerebracyjnym.

Dłużej się nad tem nie rozwodzę, ale zaznaczę jedynie, że owa dążność do oszczędzania pracy usuwa wszystko niejasne, nieokreślone, skomplikowane, niepotrzebne. A z tego stanowiska przesuwania wymawiania od tyłu ku przodowi, jego wychodzenie, że tak powiem, na zewnątrz jest ułatwieniem ze stanowiska wszystkich trzech stron procesu społeczno-językowego: ze stanowiska fonacyi, ze stanowiska audycyi i percepcyi, oraz ze stanowiska centralnojęzykowej zdolności rozróżniającej.

*

* *

Zapowiedziałem, że ów stały kierunek zmian językowych będę rozpatrywał w związku z antropologią.

Antropologia, tak jak ja ją rozumiem, jest nauką o cechach ludzkich, charakteryzujących rodzaj ludzki w różnicy od innych istot żyjących, a określanych objektywnie, na podstawie nie bajek, ale na podstawie metodycznego badania faktów, i oczywiście na tle ewolucyjnem, na tle rozwojowem.

W antropologii rozróżniamy dwie części:

pierwsza ustanawia różnicę objektywną człowieka od zwierzęcia,

druga zaś zajmuje się rozwojem cech ludzkich już w samym rodzaju ludzkim.

Jeżeli zastosujemy to do języka, to okaże się, że przejściu zwierzęcia-przedczłowieka w człowieka towarzyszyło wyjście głosów czyli brzmień, skojarzonych z pewnem znaczeniem, z krtani do jamy ustnej. Najwyżej uorganizowane zwierzęta ssące przy wydawaniu głosów pracują wyłącznie krtanią. Ale oto przed-człowiek staje na dwóch nogach, z czworonoga lub czwororęka staje się

istotą dwunożną i dwuręczną, śmiało spogląda przed siebie, a jednocześnie głos jego wychodzi z krtani do jamy ustnej.

Wyszedłszy z krtani, wymawianie umiejscowione trzymało się głównie tylnych regionów jamy ustnej, bez udziału przedniej części języka.

Jeżeli budowa anatomiczna człowieka kopalnego upoważnia nas do wniosków, stojących w związku z naszą kwestyą, to możemy przypuszczać, że człowiek pierwotny nie posiadał prawie wyrostka podbródkowego (*tuberculum mentale*), jego wewnętrzna kość podbródkowa (*spina mentalis interior*) była bardzo w tył podana, a w związku z tem oczywiście mięsień podbródkowo-językowy (*musculus genioglossus*) był bardzo słabo rozwinięty. Czyż potrzeba jeszcze wyraźnie zaznaczać, że w takich warunkach ruchomość przedniej części języka, grającej dziś tak ważną rolę w wymawianiu wszystkich znanych nam języków, była wówczas minimalną? Ale bo też ów człowiek kopalny, ze względu na swoje organa mówne, był więcej zbliżony do małpy i do zwierząt wogóle, aniżeli do dzisiejszego człowieka.

Później dopiero potomkowie człowieka pierwotnego usiłują z coraz większem natężeniem wprawiać swój język do ruchów mówniczych, a ten w ciągu wielu pokoleń powtarzający się masaż samodzielny wyrabia w przedniej części języka coraz większą giętkość i podatność fonacyjną. W związku z tem rozwija się grupa mięśni podbródkowo-językowych, sam podbródek coraz bardziej wystaje, a potomek człowieka pierwotnego zbliża się pod względem zdolności fonacyjnej do człowieka najnowszej fonacyi antropologicznej.

Ręka w rękę z tym rozwojem i w ścisłej od niego zależności idzie coraz większa rozmaitość prac przedniojęzykowych: a chociaż, przechodząc od razu od udoskonalonych potomków człowieka pierwotnego do plemienia, którego język odtwarzamy jako wspólny stan pierwotny późniejszych języków aryoeuropejskich, dokonywamy ogromnego skoku przez całe wieki, a może nawet przez całe dziesiątki tysięcy lat, to jednak stały kierunek zmian fonacyjnych pozostaje jeden i ten sam, tak tu, jak i tam.

Kierunek zaś ten polega na coraz większem oddalaniu się od stanu zwierzęcego, i dla tego można go słusznie nazwać coraz bardziej rosnącem c z ł o w i e c z e n i e m j ę z y k a.

Ten stały kierunek zmian fonacyjnych ku wyjściu z organizmu odpowiada ogólnemu kierunkowi rozwoju antropologicznego, dającego się zresztą spostrzegać w zarodku u niektórych zwierząt,

jak u pająków, u pszczół, u mrówek, u ptaków budujących gniazda, u bobrów, u małp itd.

Kierunek ten polega na przedłużaniu swojej indywidualności w świat zewnętrzny, na zużytkowywaniu czynników przyrody do celów samoobrony i własnej twórczości. Miejsce szerści, chroniącej ciało od wpływów atmosferycznych, zastępuje odzież i mieszkanie. Na pomoc zębom i pazurom staje broń wszelkiego rodzaju. Śpiew krtani ludzkiej wychodzi na zewnątrz w postaci instrumentów muzycznych. Twory własnej wyobraźni uzmysławia człowiek w dziełach sztuki; a, jako dalszy ciąg mowy, służą mu do porozumiewania się pismo, telegraf, telefon, nareszcie elektryczność bez drutu.

Przy tem wszystkiem strona duchowa człowieka coraz bardziej się doskonali, uchodzi w głąb. *Bieguny antropologiczne* coraz bardziej się od siebie oddalają. Człowiek najbardziej uduchowiony, najpotężniej myślący, najpotężniej też opanowuje przyrodę i robi ją kontynuacyą własnej istoty, stając się niby wielkim polipem, trzymającym przyrodę w swych kleszczach.

Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na wyrazistość fizyonomii człowieka uduchowionego, musimy przyznać, że i na samej twarzy ludzkiej ten proces antropologiczny wyciska niezatarte piętno.

To samo oddalanie się biegunów antropologicznych daje się zauważyć i w historyi mowy ludzkiej. *Wymawianie języka uchodzi na zewnątrz*, ale *myśl językowa coraz bardziej się zagłębia*.

Tylko że tutaj »zagłębianie się« zmienia swoje znaczenie pierwotne i powinno być rozumiane przenośnie. Stosunki czysto przestrzeniowe stają się jakiemiś innemi, których wymiary pozostają dla nas dotychczas zagadką, nie dając się rozłożyć na prostsze składniki.

* * *

W tym stałym kierunku zmian językowych, w związku z innemi zmianami antropologicznemi, objawia się *postęp objektywny*, postęp w samej przyrodzie, w samym przedmiocie, postęp, niezależny od samowoli lub kaprysu.

Czy i w innych sferach objawów psychiczno-socyalnych, a zwłaszcza w etyce, istnieje również podobny postęp objektywny? Jestto pytanie, na które odpowiadać nie moją jest rzeczą.



Adam Siedlecki.

NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

Matce mojej.

Rzecz dzieje się we Warszawie. Akcyę sztuki wypełniają następujące osoby:

Jerzy Skierski, prawnik uniwersytetu warszawskiego; hr. Jastrzębowiec, Józek, Kostecki — malarze; Doktór; Nitowicz, osoba »bez określonej taczki życia«; Władka, Mańka i innych modelek kilka.

Kolber, adwokat warszawski; Marta, jego żona; Marynia. jej siostra; pani Chomieniewska, matka Marty i Maryi; kuzynek Adaś; Anusia, pokojówka u Kolberów.

Pękowski, fryzyer teatralny; Maszynista teatralny; Felek, pomocnik maszynisty; Grzegorzowa, stróżka obsługująca Skierskiego.

ODSŁONA PIERWSZA.

Scena przedstawia pokój zakulisowy w teatrze amatorskim. Dwoje drzwi. W ostatnim planie widać ustawione kulisy, imitujące las. W pokoju nieporządek. Do jednej ściany przysunięty stół, na nim świeca, szminki, peruki, flaszeczki i lampa. Tu i ówdzie garderoba, rzucona w pośpiechu. Również akcesorya: kominek, meble stylowe, rzucone kulisy etc. Przy stole ławeczka. Jedna z bocznych ścian ustawionej scenki przysłonięta kotarą płócienną, która się ciągnie po przekątnej aż do rogu pokoju. Jedne drzwi prowadzą do sali widzów (lewe) — prawe do damskiej garderoby. Na ostatnim napis: »garderoba pań«.

Na scenie: Marynia * siedzi na ławeczce przed stołem. Pękowski charakteryzuje ją. Marynia ma na sobie kostyum damy »empire«, odpowiednia peruczka na głowie. Kostecki, ubrany w kostyum panicza z XVIII wieku, całkowicie ucharakteryzowany. Adaś w kostyumie, ale bez peruki, przy podniesieniu kurtyny obuwa nogę pantoflem stylowym. Maszynista przy kurtynie. Felek. Z za kulis scenki mały gwar — przyciszony. Z oddali, z sali widzów dochodzi muzyka.

Marynia. Adasiu! Zobacz, czy się prędko ułoży.

Kostecki. Zaraz podniosą kurtynę.

Adaś (uchyla jedną z kulis, zagląda wewnątrz scenki). Prędko państwo będziecie gotowi? (Zatrzymuje się chwilę na miejscu).

Pękowski (kończąc charakteryzacyę). Zaraz, jeszcze trochę (robi rysę na twarzy). Raz. Tu jeszcze. Chwileczkę. (Odstępuje na krok, przypatruje się). Tak! (Kładzie szminkę na stół). Schluss!

Marynia (wstaje i przegląda się w lustrze — zadowolona).

Kostecki (patrząc na Marynię). Portrecik!

Pękowski. Niechby nie był!

Marynia. Dziękuję panu. Pana Jerzego niema jeszcze? Kiedyż on przyjdzie?

Kostecki. Mógłby już być. Za chwilę rozpoczniemy.

Pękowski. Autor powinien warować.

Marynia (we drzwiach, wiodących do garderoby). Może nadejdzie. — Adasiu, powiedz mi, gdy pan Skierski się zjawi.

Pękowski (do Kosteckiego). Co to za panna?

Kostecki. Panna Chomieniewska.

Pękowski. Siostra tej mecenasowej...

Kostecki. ... Kolberowej. Ładna?

Adaś (do Pękowskiego). Może pan teraz mnie zacznie charakteryzować. (Siada. Pękowski go maluje i nakłada perukę).

(Na scenę wchodzą Kolber i Rozleniecki * drzwiami z lewej strony).

Rozleniecki. Słuchajże Kolber, kiedyż ja będę mógł w końcu pogadać z tobą?

Kolber. Zaczekaj. Znajdziemy spokojny kąt (do Adasia): Czy tu Marty niema?

Adaś. Nie widziałem. Marynia jest w garderobie.

Kolber (daje Rozlenieckiemu afisz, rozłożony na krzesełku). Afisz.

Rozleniecki (czyta). »Na dochód kolonij letnich odbędzie się w dniu 26 listopada koncert, pod protektoratem mecenasowej Marty Kolberowej«. (Do Kolbera): Twojej żony? (Czyta): »Program: Żywe obrazy, układu hr. Jastrzębowca« — (do siebie): Hrabiego.

Jastrzębowiec (z za sceny). Władka czego się oglądasz?! Tak, ty nigdy nie ułożę.

Rozleniecki (czyta). »Komedya w jednym akcie: »Starościna-starościanka«, umyślnie na ten cel napisana przez Jerzego Skierskiego.

Kolber. Prawnik; bywa u nas. Młody chłopak. Bywa u nas.

---

* Kolber mężczyzna 38-letni. Zachowanie jego cechuje urobiony spokój, pod którym się czuje wrącą wrażliwość nerwową. Ubiór, ruchy, gest, odezwanie — cechuje nabyta dystynkcya, nieco tańszego typu. Ubrany we frak. Rozleniecki zaśniedziały obywatel w wieku Kolbera. Ubiór: czarny tużurek.

* Marynia jest dziewczyną dwudziestoletnią. Wysoka, kształtnie zbudowana. Całą postawę cechuje wrodzony arystokratyzm ducha. Ekspresya wzroku i pewna leniwość ruchów, znamionują namiętność temperamentu. Głos przyciszony.

(Władka wygląda z wewnątrz scenki. Ubrana w kostyum rusałki).

Jastrzębowiec (ukazuje się za nią). Władka, dokąd ty idziesz? (Odciąga ją zirytowany).

Władka (prosząco). Mój drogi, chwileczkę. — Kostek, niema tego, coś to mówił?

Kostecki. Skierskiego? Nie, ale jest twój Kolber.

Władka (z niesmakiem). Strasznieś dowcipny... Ciewy! (Chowa się napowrót w scenkę).

Rozleniecki (pokazując na Władkę). Co to za lafirynda w tej koszuli?

Kolber. To modelka.

Rozleniecki. Modelka. — A prawda; żywe obrazy.

Pękowski (do Adasia). Czy się pan będzie ruszał, czy się pan nie będzie ruszał?

Kolber (do Rozlenieckiego) Widzisz, a ten Torini, tenor to prawie samouk.

Rozleniecki (rzuca afisz). Ta daj mi pokój z twoimi tenorami i koncertami! Gadaj, po kiego dyabła ja tutaj przyjechał.

Kolber. Zaczekaj...

(We drzwiach od garderoby ukazuje się Marynia).

Jastrzębowiec (wchodzi ze scenki, mówi w kulisę). Teraz uwaga! Nie ruszać się! Mańka, podaj się w tył! Tak. (dzwoni). Niechże tam ta muzyka ustanie!! Spokój! (Muzyka cichnie). Spokój. (Uderza trzy razy nogą i daje znak maszyniście). Kurtyna!

(Wchodzi Jerzy Skierski *).

Kolber (do Rozlenieckiego, zobaczywszy Marynię we drzwiach). A to moja kuzynka. Chodź, przedstawię cię.

Marynia (zobaczyła Jerzego; biegnie doń, nie zważając na Kolbera i Rozlenieckiego). A! pan Jerzy!... (Z wymówką; — ciepło). Co tak późno.

Jerzy (rzuca niedbale czapkę i szynel). Nie mogłem... (Pokazuje ręką na scenkę). Obraz?

(Ze sali widzów słychać brawa).

Jastrzębowiec (do maszynisty). Spuścić! (Widząc, że brawo nie milknie). Auf!

(Maszynista podnosi kurtynę).

Jastrzębowiec (do maszynisty po chwili). Na dół!

(Za sceną jeszcze słychać brawo, następnie na scenę wbiega kilkanaście modelek, przebranych za rusałki i Józek przebrany za satyra leśnego. Na scenie robi się gwarno. Śmiech, wrzawa, pojedyncze głosy nikną. Jerzy okazuje zniecierpliwienie; zaczyna dzwonić. Gwar trochę cichnie. Marynia w samym początku dyskretnie usuwa się do garderoby).

Mańka (do Władki). Widziałaś tego faceta w pierwszym rzędzie? To ci śmieszny! Ha, ha, ha!

Jerzy (do Jastrzębowca). Dekoracye? — Można rozbierać? (Ciągły śmiech).

Jakiś głos. Józek!

Jastrzębowiec (do Jerzego). Owszem.

(Jerzy daje znak maszyniście. Ten z Felkiem rozbierają kulisy. Po odjęciu zewnętrznych ścian, ukazuje się kurtyna, rząd kinkietów, otwór budki suflera; w ramach scenki kilka dekoracyj, imitujących krzewy, pniaki etc. — Dwie czy trzy modelki biegną do kurtyny, lustrować publikę przez otwory kuli-

---

* Jerzy Skierski, mężczyzna 24-letni, wysoki, ślicznie zbudowany. Czarne włosy zapuszczone z pewną pozą. Nos orli wydatne brwi. Ruchy chorobliwie nerwowe. Dykcya szybka, ton głosu despotyczny, ruchy rąk i głowy raptowne i nieobliczalne. — Ubrany w mundur akademicki. dość podniszczony.

sowe. Niezależnie od tego na scenie szybka, gwarna rozmowa:

Mańka. A wiesz Władka, ten Józek, bestya to mnie jeszcze szczypał.

Pękowski (do Adasia). Albo się pan dasz robić — albo cisnę.

Jastrzębowiec. No! Teraz, kto pokazuje w »Wyroczni«, jazda do garderoby.

Kilka głosów śród modelek. Idę. — Ja nie pokazuję. — Zosiu! chodź. — Po co tak zaraz! — Chodźmy, etc.

Jastrzębowiec. Mańka!

Mańka. Zaraz przyjdę, moje złotko.

(Wszystkie modelki, oprócz Władki i Mańki wychodzą za kotarę płócienną, za nimi Jastrzębowiec.)

Jerzy. Prędko rozbierać. Gdzie Nitowicz?

Władka. Widzisz, to jest Skierski.

Mańka. Przecie go znam — Józek daj papierosa.

(Józek częstuje je. One siadają na pace wywróconej w drugim planie, zapalają papierosy. Kostecki pomaga w robocie Maszyniście i Felkowi: znoszą kulisy, przedstawiające stylowy salonik XVIII wieku, fotele, kominek, klęcznik etc., Ściany pokoju przykręcają do podłogi, umocowywują drzwi. Rozmowa na scenie wciąż trwa w szybkim tempie. Ruch).

Maszynista (do Władki i Mańki). Proszę się usunąć. (Do siebie). Nie lubię takich — (przykręca boczną ścianę).

Adaś (do Pękowskiego). Możeby mi pan brodę przylepił, tobym starzej wyglądał.

Pękowski (z samowiedzą wyższości fachowej). Idźże pan, idź! Widziałeś pan rokoko z brodą? Co?

Adaś. A... a prawda.

Pękowski. No to pan nie chciej brody. Ampir peruczka i broda. Także! Niewolno brody: goła gęba.

(Marynia, widząc iż modelki wyszły, podchodzi ku pierwszemu planowi. Kolber zbliża się do niej; chce coś powiedzieć. Marynia ostentacyjnie odchodzi. Kolber z irytacyą wraca do Rozlenieckiego. Rozleniecki przez cały czas pozostawał na scenie; czuje się nieswój w tym nastroju; albo on komuś, albo jemu ktoś przeszkadza.

Mańka (ukazując na przechodzącego obok nich Kolbera — cicho). To ten twój Kolber?

Władka. Widzisz; to przejdzie koło człowieka i uda, że nie widzi.

Mańka. Jakaś ty głupia. Przecie przy wszystkich nie może.

Władka. To też nic nie mówię. Ale to przyjemne nie jest; sama powiedz. (Naraz entuzyastycznie, z iskrzącym wzrokiem). Patrzajno, patrzaj! Jaki on teraz ładny!

Mańka. Skierski!

(Patrzą obiedwie na niego — pauza. —

Władka (z uwielbieniem). To chłop!

Marynia (cicho). Jerzy!

Jerzy. Zaraz, moja pani. (Do ustawiających scenę). Kominek na samym przodzie! (Podchodzi do Maryni — zwraca się do Kost.). Dlaczego orkierstra nie gra?

Marynia. Jerzy — więc to dziś...

Jerzy (odruchowo). Aha... (Z uświadomieniem). Co mówisz?

Marynia. * Dziś.. przełomowa chwila.

Jerzy. A tak! Albo skręcę kark... albo —

Marynia. Sława!

Jerzy (do Felka, niosącego firanki). Nie trzeba

* Cała scena ta powinna być prowadzona półgłosem.

portyer. (Zwraca go gestem. — Do Maryni). Pamiętaj o tej scenie z cześnikiem. Ta scena... Nerwem nerwów grać! (Zapala się). A gdy popatrzysz na niego — to ani słowa, ani dźwięku, tylko mu wzrokiem plunąć w twarz!!

Marynia (ciepło). Jabym tak chciała dobrze zagrać, tak dobrze...

Jerzy (roztargniony). Ekran przed kominkiem... (Usiłując przedłużyć rozmowę). Tak, to przełomowa chwila...

Marynia (przymyka oczy na pół, jakby chciała coś zobaczyć ze świata wspomnień). Sława! (Bierze Jerzego za rękę). Jerzy! to przecie sen nasz!! (Przegina się w ruch nęcący — patrzy mu życzliwie w oczy). A gdy stary dzieciak będzie sławnym?... (Coraz namiętniej). No — co wtedy będzie?... (Ściska nerwowo dłoń jego; gorącym szeptem). Nie zapomni o swojej Maryś, o tej Maryś, co...

Jerzy (ciągle myślą przy dekoracyach i dekorujących). Naturalnie... naturalnie... — Niechże tam ta orkierstra zagra! Zaczną bić o podłogę.

Marynia (urażona do żywa). Tak jest. — Publika przedewszystkiem. (Oddala się).

Jerzy. Fotel nie tak. (Z irytacyą). Eh! — Bliżej! Eh!! (wpada za kulisy).

(Jerzy wraca na scenę, osobiście pomaga maszyniście ustawiać kulisę z głównemi drzwiami. Kolber obserwował uporczywie rozmowę Maryni z Jerzym; na twarzy nie zdradzał żadnego wrażenia. Teraz podchodzi do Maryni, zatrzymuje się w pewnem oddaleniu, jakby go co oddalało od niej).

Kolber (zimna ironia, pewność siebie). Kochankowie zdaje się pogniewani coś nie coś?

(Marynia mierzy go wzrokiem zimnym, niechętnym, odruchowo prostuje się wyniośle, — nie mówi ani słowa).

O cóż to poszło?

(Marynia spokojnie odwraca głowę od niego na znak, że nie chce odpowiadać).

(Z wymuszonym sarkazmem). Czy pan Jerzy był nie dość rycerski?

(Marynia spogląda na niego przez ramię).

A widzisz — mówiłem, żem ja więcej wart od niego w miłości.

(Marynia odchodzi raptownie. Kolber prowadzi za nią wzrokiem; twarz zaczyna mu drgać nerwowo od pasowania się ze złością. Ruch głową, jakby chciał powiedzieć: »twarda«. Następnie przechodzi do Rozlenieckiego).

(Głosem prawie spokojnym). Chodź, pójdziemy na salę — tu za gorąco. (Wychodzą z Rozlenieckim do widzów).

Mańka (do Władki). O co ci w końcu chodzi? Nie dobrze ci z nim? Nie hrabia, ale dosyć bogaty.

Władka. Co mi tam, że bogaty...

Mańka (do Władki). Władka nie gadaj! A jakbyś jego nie miała, to cobyś robiła? Śmieci byś kupowała.

Władka. Ale by mi lżej było.

Mańka. Coby ci było?

Władka. Lżej.

Mańka. Takby ci było lżej, ażbyś spuchła.

Władka. E! mnie nie o to chodzi. Jabym tak chciała — sama nie wiem, jak to powiedzieć, — tak widzisz, żeby to inaczej. Nie tak, jak z Kolberem. Kolber... — Żeby przecie czuć, że mu człowiek przyjemny. Pomówić czasem. Nacieszyć się... Wiesz... ja to sobie tak czasem myślę..., myślę, i nie wiem kiedy rozbeczę się... — Tak mi cze-

goś wtedy żal, żem ja już nie dziecko. Sama nie wiem dlaczego.

Mańka. Ji! głupiaś Władka i tyle.

Władka. Możem ja i nie taka głupia...

Maszynista. Usuńno się panna, mówię!

(Mańka przechodzi, Władka zostaje zamyślona).

Jerzy. Niechże tam ta muzyka zagra! — Gdzie ten Nitowicz!?

(Kostecki idzie wewnątrz scenki — niebawem wraca).

Adaś. Moja taca z winem? Gdzie moja taca?

Kostecki (do Jerzego). Powiedziałem. Zaraz zagrają.

(Muzyka zaczyna grać mazura dość głośno. Na scenie coraz większe rozdenerwowanie, pośpiech; Mańka przytupuje w takt mazurowy. Władka podchodzi do niej; wodzi wzrokiem za Jerzym).

Jerzy (usłyszał muzykę). Przecie!

Adaś. Taca mi zginęła.

Jerzy. Co ja bez Nitowicza zrobię? Z nim to zawsze tak. (Chodzi nerwowo, bezcelowo po scenie).

Adaś (do Kosteckiego, zajętego przy kulisach). Proszę pana, czy mi pan nie wziął tacy z winem?

Kostecki. Idźże pan do dyabła ze swojem winem!

Jerzy. Wszyscy gotowi? Gdzie cześnik? (Zagląda za kotarę). Jest.

(Wchodzi Nitowicz *).

Kostecki. Jest Nitowicz.

* Lat 28—30. Pod pozorami zaniedbania towarzyskiego, we wzroku, w wytwornej ironii głosu przebija się indywidualność nieprzeciętnego rodzaju. — Ubrany podług przepisu: frak, bez szapoklaka, rękawiczki zwinięte w kłębek, w ręku.

Jerzy. Jesteś. — Nareszcie! Właź do budy.

Nitowicz (spokojny zawsze niewzruszenie). Zaraz. Sprawy osobiste przedewszystkiem; czy jest tu Kolberowa?

Jerzy. Nie widziałem. Właź do budy.

Nitowicz (ze spokojną irytacyą). Właź! właź! właź!!... Właśnie, że nie właź... Przyszedłem oświadczyć — dobry wieczór panno Maryo; (obserwując kostyum jej) doskonale — oświadczyć, że nie będę suflował.

Jerzy (prawie równocześnie z następującymi). Cóż znowu za heca!?

Marynia. Ale panie Nitowicz...

Adaś (do Kosteckiego). Pan Nitowicz nie chce suflować. Heca! (Zadowolony).

Kostecki. Jak? Jak? Co ty Nit...

Jerzy. Musisz!

Nitowicz. Nie będziemy się bawić w suflera, bo nas przełyk boli.

Kostecki (łapiąc go w ferworze za rękaw): Zkądże my teraz suflera weźmiemy!

Nitowicz (uwalniając rękę) Nie szarp!

Marynia (prosząc). Panie Nitowicz...

Jerzy. Zrozumże idyo..., że bez ciebie nie mogą grać.

Nitowicz (potakująco). A... a tak.

(Jerzy rozłoszczony wybiega do widzów).

Maszynista. Felek, ekran!

Felek. Zaraz!

Maszynista. Nie zaraz, tylko po ekran dymaj! (Felek odchodzi). Felek świderek!

Felek. Będzie. (Wychodzi).

Maszynista. Felek! Felek!

(Wchodzi Marta Kolberowa *).

Kolberowa. Moi państwo spieszcie się, bo to najwyższy czas.

* Te same cechy dystynkcyi, ta sama swoboda, co i u Maryni; temperament żywszy, skierowany raczej na zalotność, niż na namiętność. Dużo swobody zachowania. Ubrana w strój wizytowy wytworny — na głowie kapelusik.

Nitowicz. Aa! szukam mecenasowej.

Kolberowa (wita się ze wszystkimi z uśmiechem, życzliwością). Dobry wieczór — dobry wieczór. Jak się macie. — Aa! Marynka! (Ogląda ją naokoło, okiem zadowolonej znawczyni).

Kostecki. Pierwszy dzwonek można dać?

(Dzwoni — muzyka po chwili ustaje. Dzwonek robi na wszystkich wrażenie; trema się wzmaga. Na scenę wpada Jerzy, ciągnąc za sobą prawie przemocą doktora).

Jerzy (tryumfująco). Jest sufler!

Marynia, Kostecki, Adaś, Nitowicz (prawie razem). Pan doktór. — Wyśmienicie. — Doktór. — Chwała Bogu.

Doktór. Ale moi państwo — ale moi państwo — ja nie mogę, ja nigdy — moi państwo, ale...

Jerzy. Chodź na scenę. (Ciągnie go).

Doktór (coraz rozpaczliwiej). Moi państwo!!

(Jerzy, Kostecki, Marynia, a zwłaszcza Nitowicz, wpychają go gwałtem za kulisy. Kolberowa śmieje się serdecznie).

Nitowicz (równocześnie z powyższem). Do budy z nim! Niema dwóch słów. — Przecie lepiej, że się doktór zmęczy, a nie ja.

(Podchodzi do Kolberowej; w cichej rozmowie odchodzą w ostatni plan).

Adaś (znalazł za kulisami tacę — ucieszony). Mam tacę! Mam tacę! (Bębni w nią kułakiem).

Jerzy. Starościna na scenę!

Marynia. O joj joj!... trzęsę się. — Idę. (Do Jerzego pieszczotliwie): No... stary dzieciak nie będzie życzył powodzenia swojej Maryś?...

Jerzy. Ale owszem — owszem. (Całuje jej rękę). Scena z cześnikiem! pamiętaj.

Władka. Kostek! Kostek!... (Zaniepokojona). Czy ten Skierski żeni się z tą panną? (Pokazuje na Marynię).

Kostecki (z uśmiechem). O! tak bardzo znowu, to nie.

Mańka. Ale co się kochają, to się kochają.

Władka (ze wzruszeniem — smutnie). Jezusie! kochają się... kochają się.

(Marynia wychodzi za kulisy. Jerzy zatrzymuje się we drzwiach).

Jerzy. Zupełnie swobodnie... Taak... Co pani mówi? (Kiwa głową życzliwie). Dobrze... dobrze. (Wraca do tonu informacyjnego). Ale spokojnie. Lewą ręką podeprzeć głowę... Oo! to, to! — Gdzie dzwonek? Prawda — muzyka... (Kostecki daje mu dzwonek). Józek — jesteś! siadaj. (Józek siada przy szpinecie — zaczyna grać). Ciszej: z oddalenia... Gdzie dzwonek? A — mam. (Dzwoni).

Maszynista. Podnosić?

Jerzy. Prędzej!

Maszynista (mrucząc). Prędzej, prędzej! (Pluje w ręce). Jazda panie Walanty. (Ciągnie kurtynę).

Kostecki (otwiera drzwi — we drzwiach w tempie deklamacyi): »A starościna! Zawdy tak samotna...« (Zamyka drzwi, wychodzi w kulisy; na scenie cisza, zasłuchanie).

(Mańka, Władka, Jerzy, Pękowski, Adaś otaczają kulisy — patrzą wewnątrz).

Mańka (śmieje się). Jak on się kłania!

(Obiedwie z Władką wybuchają śmiechem).

Jerzy. Cicho!

(Mańka śmieje się wciąż — Władka urywa momentalnie).

Władka (mitygując Mańkę). Mańka!

Mańka (krzyczy do środka scenki z andrusowskiem zacięciem). Kostek... jak się

masz... po czemu gruszki! (Ze śmiechem wybiega za kulisy).

(Jerzy patrzy na nią zły i rozdenerwowany).

Władka. Waryatka!

(Pauza. Jerzy powtarza półgłosem za grającymi słowa komedyi — w takt rusza głową).

Pękowski (do Jerzego). A co! Artysta!

Jerzy. Bardzo dobrze mówi.

Pękowski. He he! Ze starym Mondajem po po prowincyach jeździł... Znamy się jeszcze z Kalisza...

Adaś (pełen zachwytu). Jej, jej, jej! Jej, jej, jej!!

(Pauza).

Jerzy (niezadowolony). Eh!

Pękowski. I! Ona to kładzie.

(Pauza).

Władka (do Jerzego nieśmiało). Proszę pana, to pańska sztuka?

Jerzy (nie patrząc na nią). Tak jest.

Pękowski (do Jerzego z przeświadczeniem fachowej znajomości rzeczy). Ma fajer — czy nie ma fajeru?

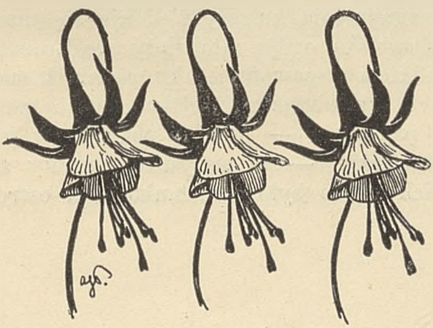
Władka (do Jerzego). I to proszę pana same wiersze?

Jerzy. A jakże.

Władka. Jezusie, same wiersze!...

(Rozmowa się urywa).

Nitowicz (do Kolberowej). Widzi pani, ta rusałka — o ta, co z Jerzym flirtuje, to Władka.



Kolberowa. Czy to ta mojego męża?

Nitowicz. Mhm.

Kolberowa. Nie brzydka. Miły buziak. — A wie pan, nasze damy pełne oburzenia na Marynię, że występuje na tym wieczorze, na którym i modelki biorą udział.

Nitowicz. Ale a propos... czy to prawda, o Roteckiej?

Kolberowa. A jakże; dziś rano odesłała rolę; Skierski musiał wykreślić całą scenę.

Nitowicz. A Marynka.

Kolberowa. A Marynka uparła się i gra.

Władka (chcąc ponowić rozmowę). Ale pan... to jest pan Skierski?

Jerzy (pierwszy raz spogląda na nią). A tak...

Władka (z większą otuchą). A jak panu na imię?

Jerzy. Jerzy.

Władka. Jerzy..., to bardzo ładne imię: Jerzy. (Uśmiecha się doń. Jerzy zaczyna się nią zajmować).

Kolberowa (pokazuje Nitowiczowi powyższą scenę). Proszę patrzyć...

Nitowicz. Tym się spieszy.

(Spoglądają na siebie: uśmiechy; ona zalotnie, zachęcająco, on łotrowsko z humorem; mała pauza. Ona uderza go po ręku, on całuje ją w rękę, jakby dziękował za coś).

(D. c. n.)

MŁODZIEŻ KONSERWATYWNA O SOBIE.

I.

Dwa lata temu pojawiła się broszura zatytułowana „Współczesna młodzież polska“. W odpowiedzi na nią wydało krakowskie stowarzyszenie „Jagellonia“, które wystąpiło jako „ogólno-akademickie“, broszurę Stefana Fuchsa p. t. „Młodzież polska o sobie“. Pierwszej broszury, która wymagałaby osobnego szczegółowego opracowania, i stosunku jej do broszury p. Fuchsa omawiać nie będziemy; gdzie niegdzie tylko, korzystając z argumentacyi autora, będziemy mogli zwrócić uwagę na jego poglądy. Wydawcom tej broszury, jak sami zaznaczyli, szło „o danie przez młodzież sobie samej materyału do badań nad swemi dążnościami i celami“; a dalej: „za najbardziej dodatni rezultat uważać będziemy, jeżeli oddzielne jednostki wśród młodzieży polskiej przeprowadzą nad sobą głęboką krytykę“. Rzecz p. Fuchsa zajmuje nas zatem jako rezultat krytyki nad sobą pewnego odłamu młodzieży, nie jako polemika z autorem „Współczesnej młodzieży polskiej“.

Z części polemicznej wypada chyba tylko wspomnieć o klasycznym zarzucie „podmiotowej nieokreśloności autora“: „w tych kilku wstępnych słowach, noszących tytuł „od wydawców“, odłam młodzieży, której staraniem wydanie odczytu przychodzi do skutku, nie jest nazwany“, i „ma obowiązek nazwać się, abyśmy wiedzieli, kto nas nawołuje“, bo „wobec odczytu takiego, jakim on się przedstawia, zachować się może każdy ostrożny młody człowiek, chociaż będzie miał całe uznanie dla morału głoszonego przez autora, z rezerwą“. Ten ustęp dowodzi niepospolitego zmysłu politycznego autora. P. Fuchs wypowiedział bardzo subtelnie zasadę, pod którą podpisaliby się najwytrawniejsi politycy, że w polityce nie należy nigdy uznawać sympatycznych przekonań u niesympatycznych osobistości, ale przeciwnie, rozbijać każdą akcyę, podjętą przez przeciwników politycznych, chociażby ta akcya odpowiadała zupełnie naszym przekonaniom, i że wobec broszury, której autor jest nieznany, a więc mógłby być niesympatyczny, należy zachować się z rezerwą, „chociażby się miało całe uznanie dla morału głoszonego przez autora“. Ale pan Fuchs powinien pamiętać, że bywają wypadki, w których polityka, jak wyraził się Stanisław Koźmian w studyum o Bismarcku, „jest obrzydliwością“, i że tem jest ona tutaj. Jeżeli według p. Fuchsa autor „Współczesnej młodzieży polskiej“ nie określa jasno kierunku tego ogólnego ruchu umysłowego i etycznego, który chce budzić między młodzieżą polską, to za to zarzuty, który czyni „przeciętnemu studentowi galicyjskiemu“, że „zostaje głuchy na wielkie zagadnienia kultury i oddaje się przedewszystkiem własnej karyerze“, że „umysłowe ogniska ogółu młodzieży we Lwowie i Krakowie ciągle były lub są zagrożone upadkiem z powodu braku poparcia materyalnego i umysłowego młodzieży“, że wreszcie „młodzież galicyjska zbytnio zniżyła swe ideały, przystosowała je do normy panującej — i to ją podcięło w jej rdzeniu, wprost — w jej racyi bytu, jako młodzieży“ — te wszystkie zarzuty są zbyt określone i zbyt ciężkie, ażeby wobec nich wolno było jakiemukolwiek ostro-

żnemu młodemu człowiekowi zachować się z rezerwą t. j. nie wypowiadać o nich swego zdania. O ile zatem p. Fuchs ze względu na „podmiotową nieokreśloność autora“ upoważnia „ostrożnych młodych ludzi“ do zachowania się z rezerwą tam, gdzie obowiązkiem każdego młodego człowieka byłoby wypowiedzieć otwarcie swoje zdanie bez względu na osoby, które sprawę poruszyły — o tyle nie ma racyi i o tyle też broszura jego jest szkodliwa.

Broszura p. Fuchsa jest programem politycznym młodzieży konserwatywnej. Jako taka nie jest ona ani takim zbiorem nonsensów, za jaką ją mają jedni, gdyż autor nie zaniedbuje niczego, ażeby swoje wywody oprzeć na podstawie naukowej, ani tak niebezpieczną, jak twierdzą drudzy, ze względu na to, że ogromna większość młodzieży z tym programem się nie solidaryzuje. I tu nasuwa się kwestya tytułu. „Młodzież polska o sobie“ — nie nazwiemy może tego zatytułowania broszury publicystyczną nieuczciwością; nie mamy danych, że autor tym tytułem chciał rozmyślnie pewien cel osiągnąć, zwłaszcza, iż później sam zaznaczył, że przemawia imieniem tylko „pewnego odłamu młodzieży“. W każdym jednak razie jest to publicystyczna uzurpacya, o tyle nietaktowna i szkodliwa, że na samym wstępie uspasabia czytelnika nieżyczliwie dla broszury i że wśród wielu ludzi, szczególniej w starszej generacyi, którzy czytali tylko tytuł, lub pobieżnie przerzucili broszurę, ustala się przekonanie, że autor chciał przemawiać imieniem polskiej młodzieży wogóle. Nie jest to zresztą kwestya, nad którą wartoby było dłużej się zastanawiać. Jeżeli zatytułowanie broszury nie wychodzi na korzyść młodzieży polskiej, to na korzyść autora jeszcze mniej. „Młodzież polska o sobie — napisał Stefan Fuchs“ — brzmi zupełnie humorystycznie.

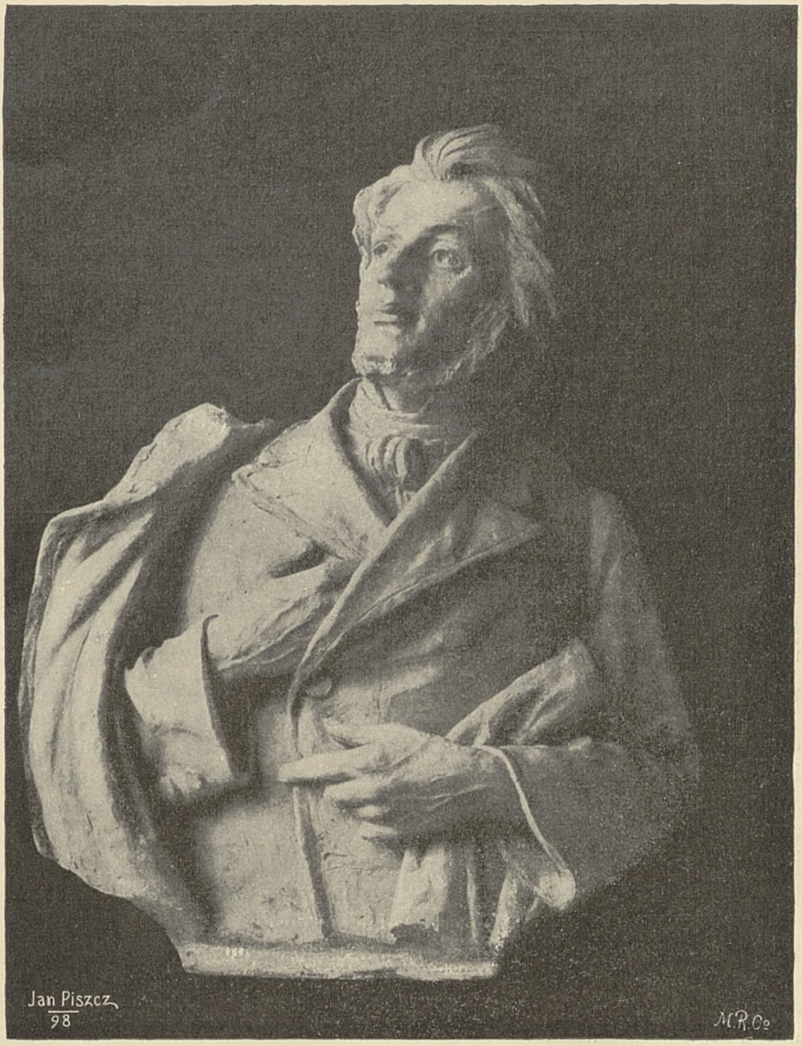
Pozwólmy teraz p. Fuchsowi rozwinąć *credo* polityczne tego odłamu młodzieży, który go wybrał na swego reprezentanta.

> „Jesteśmy młodzieżą, dla której najwyższym ideałem politycznym jest dobro ojczyzny, w której sercach żyje Polska cała, Polska wielka, Polska Jagiellonów.
>
> To ojczyste dobro pojmujemy w obecnych warunkach bytu narodowości polskiej, jako uzyskanie możliwie najdalej idącego uznania historycznych praw naszego narodu, w koniecznem oczywiście pogodzeniu ich z prawną formą bytu państwa, do którego należymy.
>
> Mając w ojczystej historyi wymowne przykłady na to, jak zgubnem było dla kraju rozpasanie się politycznych namiętności u warstwy rządzącej, nauczeni więc doświadczeniem, postanawiamy przedewszystkiem kierować się w przyszłem publicznem, obywatelskiem życiu — rozumem. Podporządkować mu chwilowe porywy, uczynić go także w sprawach politycznych, według pięknego wyobrażenia Platona, owym woźnicą, któryby wziął w ręce swoje lejce — i kierował, bo sądzimy iż tylko program z góry rozumnie obmyślany, wszelkie możliwości przewidujący, a następnie konsekwentnie przeprowadzony, może zapewnić i utrzymać narodową odrębność w dobrobycie i trwałości.
>
> Ten rozum, wykazując wam bezsensowność wszelkich gwałtownych prób i środków, każe nam także uznać, że w państwie konstytucyjnem, takiem jak Austrya, największą korzyść przyniesie narodowi lojalność, obstawanie przy rządzie i przy dynastyi, która króluje dziś Węgrom, Czechom i Polsce, jak królowała ongi Jagiellońska Węgrom, Czechom i Polsce“.

Niespodzianką ani nowością ten program nie jest. Było do przewidzenia, że zasady głoszone tak systematycznie z katedr, w pismach, w dziełach naukowych i pod-

ręcznikach szkolnych, zasady zresztą same przez się sympatyczne, bo nie wymagające nic politycznej inicyatywy od ogółu, a opłacające się jednostkom, które je wyznają — przyjmą się u pewnej części młodzieży. Broszura p. Fuchsa ma znaczenie jako oficyalne stwierdzenie tego, co dotychczas można było konstatować tylko prywatnie. Pierwszy to raz oficyalnie podano nam do wiadomości, że pewien odłam młodzieży odrzucił dotychczasowy ideał polityczny młodzieży polskiej i stworzył sobie nowy. Dotychczas najwyższym ideałem politycznym młodzieży polskiej wszystkich odcieni i przekonań była *Polska wolna i niepodległa*. Bez względu na różnice w wyborze środków, które miały doprowadzić do celu, podstawa programu politycznego była jedna: uznając równe prawa wszystkich narodowości do wszechstronnego rozwoju sił swoich na podstawie właściwych im czynników socyologicznych, jak: terytoryum, gospodarka, język, tradycye, wierzenia, zwyczaje, mieliśmy dążyć do zniesienia wszystkich kategoryi podległości w naszym własnym kraju, w Polsce etnograficznej, z którą wiążą nas nasze sympatye i interesy. W wyborze środków program nasz po r. 1863 różnił się zasadniczo od programów powstańczych. Uznawał on również w obecnych warunkach bytu narodowości polskiej „bezsensowność wszelkich gwałtownych prób i środków", bezsensowność dążenia do odbudowania ojczyzny przez wypadki wojenne i kombinacye gabinetowe, lub co gorsza, do odzyskania przywilejów i swobody tylko tych klas, które ją miały i utraciły, jak to było widoczne z uchwały sejmu rewolucyjnego z r. 1830, który odrzucił wniosek zniesienia pańszczyzny, postawiony przez Szaniawskiego i Biernackiego. Program ten kazał nam oprzeć nadzieje na tej ogromnej masie naszego ludu, której siły dotychczas lekceważono; kazał przedewszystkiem młodzieży, która mogła zdobyć pewną ilość wiedzy, budzić w tej masie poczucie narodowe, oświetlać ją wynikami nauki, i dopiero uświadomionej udowodnić na drodze czysto rozumowej, jak sobie tego życzy p. Fuchs, ile nasz naród traci ekonomicznie i kulturnie wskutek swego położenia politycznego, i tem pchnąć ją do zdobycia własną siłą pełni swych praw politycznych. Program jasno określał cel i środki: *do wolnej i niepodległej ojczyzny przez oświatę ludu*. W stosunku do trzech rządów, trzech dynastyi i prawnej formy bytu trzech państw, w skład których wchodzimy, program ten nakazywał nam opozycyę jawną i stanowczą w granicach praw istniejących w tych państwach, opozycyę, która nie zrzekałaby się żadnego z naszych zasadniczych postulatów narodowych dla ustępstw dokonanych lub spodziewanych.

(D. n.). W. Rogosz.



JAN PISZCZ
ADAM MICKIEWICZ.

PRZEDMIOT DYNAMIKI SPOŁECZNEJ.

(Ciąg dalszy).

Potrzebom życia społeczeństwa, pozostającego w nieustannych wojnach, lepiej odpowiadała rodzina ojcowska, czyli — jak się wyraża Lelewel — męska, i ze względu na więcej karne wychowanie synów i ze względu na organizacyę wojskową. I sama rodzina w tym wypadku stawała się trwalszą i przybierała kształt bardziej określony. Z tych powodów musiała rodzina ojcowska wziąć przewagę nad macierzystą. Ludy podbijające niemal wszystkie już ją miały. W Peru Inkasowie mieli rodzinę ojcowską, a lud władany — macierzystą. U włościan w Lotaryngii jeszcze w XV wieku napotykamy ślady tej ostatniej. Joanna d'Arc nazywała się Jeanne la Rommée, a było to nazwisko jej matki. Spostrzeżono, że u ludów polinezyjskich, od czasu ich odkrycia w XVII i XVIII stuleciu, odbywa się przeobrażenie stosunków rodzinnych. I tak Letourneau zaznacza, że na archipelagu Tonga czyli wysp Przyjacielskich rodzina ojcowska zastąpiła macierzystą.

Jakkolwiek mężczyzna i za czasów rodziny macierzystej — można powiedzieć — żył w wielożeństwie, to wszakże nie on nadawał charakter rodzinie, i dopiero kiedy ojcostwo wzięło w niej przewagę, wielożeństwo w wyraźnych ujawniło się kształtach. Mężczyzna, porywając sobie żonę, uważał ją za swoją brankę, za swoją własność. Prawdopodobnie, pierwsze nawet wojny pomiędzy hordami odbywały się przeważnie o kobiety, bo o innego rodzaju łupy w hordach myśliwskich trudno było.

John Lubbock liczne przytacza przykłady, że dzikim uczucie miłości jest prawie nieznanem.[1]) Gdyby jednak co do tego można było mieć pewne wątpliwości, to w każdym razie uczucie to nie przekraczało granic zmysłowego upodobania. Dopiero w miarę rozwoju uczuć i umysłowości, oraz skutkiem nawyknienia, wytwarzały się tkliwość i przywiązanie pomiędzy mężczyzną i kobietą przy dłuższem ich z sobą pożyciu. Rodzina ojcowska czyniła to życie trwalszem i z tego powodu więcej od macierzystej sprzyjała rozwojowi uczucia miłości małżeńskiej. To samo można powiedzieć o jednożeństwie w stosunku do wielożeństwa. Nadto monogamia odpowiadała bardziej wzrastającemu w kobiecie poczuciu godności ludzkiej, które domagało się od męża nietylko wspólności łoża i stołu, ale także wspólności moralnego i umysłowego życia.

Kreślę w najogólniejszych rysach rozwój kształtów ustroju rodzinnego, nie wyszczególniałem wpływów geologiczno-biologicznych, ekonomicznych, umysłowych, (w tej liczbie religijnych) i politycznych, z których jedne lub drugie w pewnych warunkach dochodzą do bardzo

[1]) Początki cywilizacyi ludzkiej, polski przekład, str. 70—73. I.

ważnego a nawet przeważnego znaczenia. Różnice fizyologiczne różnych grup Aricznych są prawie wcale dotąd nieznane, a bez dokładniejszej owych znajomości, o wpływie klimatu i rasowości na przebieg kształtowania się ustroju rodzinnego trudno coś stanowczego powiedzieć. Można wszelako przypuszczać, że większa łatwość zachowywania wstrzemięźliwości płciowej w klimacie umiarkowanym, aniżeli gorącym, sprzyjała wzmocnieniu się i utrwaleniu monogamii. Większa lub mniejsza obfitość żywości, łatwiejsze lub trudniejsze sposoby nabywania onej, przeważający rodzaj zajęcia (łowiectwo, pasterstwo, rolnictwo, przemysł) oddziaływują także niewątpliwie. I tak zdaniem niektórych podróżopisarzy — miejscowe warunki ekonomiczne przyczyniają się wiele do utrzymania polyandryi w Tybecie. Jak ważnym jest wpływ religii, wiemy z dziejów szerzenia się wiary chrześcijańskiej, nakazującej jednożeństwo; przed kilkudziesięciu laty widzieliśmy znowu, jak podboje El-Hadżego w Afryce, szerząc mahometanizm, niweczyły w Sudanie dawny układ stosunków pomiędzy kobietą i mężczyzną. Wpływy polityczne mają także nie małe znaczenie. Despotyzm panujący i republikański ustrój nadają i stosunkom rodzinnym odpowiedni charakter. Historya prawodawstwa familijnego w Europie wskazuje nam również, że zasada nierówności, silnie panująca w rodzinach feudalnych, wraz z szerzeniem się demokracyi ustępuje przed zasadą równości.

Historya rozwoju organizacyi domowej, domu, nie stanowiła dotąd osobnego przedmiotu badania, gdyż zwykle utożsamiano ją z ustrojem rodzinnym. Ponieważ nadaje ona pewną właściwą cechę i samym budowlom mieszkalnym, jak np. meksykańskim przeblom, papuańskim „gołębnikom“, komunalnym domom na Wyspach Wielkanocnych i t. d. przeto dla badania w tym kierunku zyskujemy ważny środek pomocniczy w tej części opisowej budownictwa, któryby można nazwać etnologiczną i historyczną, a która odtwarza kształty zabudowań u rozmaitych ludów i w rozmaitych epokach dzisiejszych. Opis pałacu starego króla Priama w Ilijadzie Homera przypomina Pöhlmanowi zadrugę słowiańską, a Krzywickiemu nasuwał ją na myśl wawula na archipelagu fidryjskim*.

Rodzina i dom stanowią punkt wyjścia rozwoju życia społecznego z każdej jego strony, tak ekonomicznej, jak moralnej, umysłowej i politycznej. Można to widzieć nawet w społeczeństwach, znajdujących się już na wyższych szczeblach rozwoju. Warsztat rzemieślniczy bywa jeszcze dotąd własnością rodziny; uczniowie (terminatorowie), a tu i ówdzie nawet czeladnicy, wchodzą do składu jej domowego. Brentano wykazał, że wszystkie gildy kształciły się podług wzoru rodzinnego. Nauczanie, zarówno moralnie jak umysłowo, rozpoczyna się w domu wśród rodziny.

* Str. 88. Ludy — zarys Antropologii etnicznej. Warszawa, 1893.

Zawiązków ustroju politycznego jak przewodnik w hordzie, kierownik w życiu i pracach całego domu, homerowski król (βαδ-Λγοσ), przewodniczący z berłem w ręku i z wyrazem poważnej uciechy na twarzy zbiorowi obfitego plonu z własnej niwy*.

Krzyżowanie się grup etnicznych rozpoczęło się w najodleglejszych czasach istnienia rodzaju ludzkiego, i antropologowie znajdują pomieszanie rasowe nawet u ludów na najniższych szczeblach rozwojowych. Bądź co bądź jednak, bez względu na to, czy przyjmiemy hipotezę jedno- lub wielopochodności, musiała istnieć pewna i dość długa epoka, podczas której rozrost ludzkości odbywał się w obrębie tego samego szczepu. A i później, kiedy krzyżowanie się rasowe zaczęło wnosić domieszkę obcej krwi, rozwój przez długi czas nie wychodził z granic, nakreślonych przez samo pokrewieństwo. Rodowy byt panuje jeszcze dotąd u ogromnej większości ludów, a w historyi narodów wypełnia on ich lata dziecinne i młodzieńcze. Można powiedzieć, że w rodowym bycie łączenie się i krzyżowanie się jest tylko biologiczne — pomiędzy jednostkami; społeczne zaś łączenie się różnoplemiennych części w jedną całość i krzyżowanie się onych, objawiające się, skutkiem podziału pracy, we wzajemnem mieszaniu się ich z sobą, jest już właściwością rozwoju zarodowego.

Rozwój form rodowych jest mało zbadany, i dla tego trudniej jest przedstawić ważniejsze onego szczeble. Morgan trafnie wskazał na dwa najważniejsze: bractwo i plemię. Bractwo, grecka fratrya, rzymska kurya, przedstawia się jako dobrowolne połączenie się, stowarzyszenie pewnej liczby domów czyli familij, na podstawie wzajemnej ugody, „dla pewnych celów religijnych i społecznych“ — jak powiada Morgan. Kult religijny — jak się zdaje — był początkowo najsilniejszym bodźcem do łączenia się. Znoszono swoich bożków (fetyszów) do jednego miejsca i oddawano im wspólną cześć. Tak się działo u ludów amerykańskich, np. Zuniów. Kurya rzymska miała własny kult religijny. Arystoteles (Konstytucya ateńska, rozdz. 21) obok partyj wymienia stowarzyszenie ofiarnicze (ἱεώρδυγασ).

Bolesław Limanowski.

* Ilijada, XVIII, w. 556.

Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

W skład redakcyi lwowskiej „Młodości“ wchodzą koledzy: Maryan Borowski, Antoni Müller, Ostap-Ortwin, Leopold Staff.

»Czytelnia akademicka« we Lwowie. Sprawozdanie lwowskiej »Czytelni akademickiej« za rok administracyjny 1897/8 (15 października 1897 — 15 października 1898) daje nam sposobność wyrażenia naszej sympatyi i uznania dla działalności tego towarzystwa. Z galicyjskich towarzystw akademickich dotychczas tylko lwowska Czytelnia zasługuje na nazwę prawdziwie »ogólno-akagemickiej«, gdyż dotychczas tylko ona jedna potrafiła skupić w sobie wszystkie odłamy młodzieży. Z programem politycznym jasnym i zdecydowanym, opartym na gruncie narodowo-demokratycznym, występując na zewnątrz śmiało i energicznie w każdej sprawie, która obchodzi ogół młodzieży, jak świadczyła o tem akcya, podjęta przez nią na rzecz prof. Nussbauma i Dybowskiego — potrafiła »Czytelnia« utrwalić sobie byt, nie wegetowanie i rozwija się pod każdym względem pomyślnie. W roku 1897/8 należało do »Czytelni« 279 członków. Z tablicy statystycznej, umieszczonej na wstępie sprawozdania możemy wytworzyć sobie obraz ruchu umysłowego w Kółkach naukowych »Czytelni« w dziesięcioleciu 1888—1898. Podczas gdy w r. 1888/9 wszystkich posiedzeń było 70, a w r. 1891/2 — 26, wzrasta ta liczba w każdym następnym roku, w r. 1896/7 dochodzi do 175, a w r. 1897/8 do 168. Tak samo z ilością odczytanych prac. W r. 1888/9 było ich 71, w następnych latach konstatujemy stopniowy upadek aż do roku 1891/2, w którym dano prac ogółem 39, potem rozpoczyna się stopniowy wzrost aż do r. 1896/7, w którym odczytano prac **225**, a w r. 1897/8 — **191**. Tablica opatrzona jest uwagą, że powyższym wykazem objęto tylko prace odczytane, nie uwzględniając pogadanek. »Kółek« jest 12: filozoficzne (w r. 1897/8 — posiedzeń 32, odczytów 26); literackie (pos. 21 — odcz. 24; do konkursu na wiersz i nowelę nadesłano 34 wierszy i 11 nowel); prawniczo-ekonomiczne (pos. 20 — odcz. 22); historyczne (pos. 17 — odcz. 15); filologiczne (pos. 16 — odcz. 12); przyrodników (odcz. 14); germanistów (odcz. 7); słowiańskie (pos. 11 — odcz. 12); muzyczno-deklamatorskie (pos. 10 — odcz. 5); stenografów (odcz. 4); nadto kółko szermierzy. Biblioteka Czytelni zawiera **10.426** dzieł. Przychód na r. 1897/8 — 4.267 złr. $61^1/_2$ ct.; rozchód 3.651 złr. $32^1/_2$ ct. Pozostałość wynosi 616 złr. 19 ct.

»Teka« i »Promień«.

Tytuły dwóch pism poświęconych sprawom młodzieży szkół średnich, a wydawanych przez lwowską młodzież uniwersytecką. Pisma te wytknęły sobie jeden i ten sam cel: dążyć do wzbudzenia wśród młodzieży gimnazyalnej ruchu umysłowego, zapełnić luki pozostawione w wykształceniu młodzieży przez gimnazyum i wpajać w dorastające pokolenie, to czego mu brak, idealizm i wiarę w siebie i przyszłość.

Szkoda, że siły przez wydawanie równoczesne dwóch czasopism rozdrabniają się niepotrzebnie; »Roboty dla obu pism nie zabraknie!« — pisze »Teka«; roboty nie — to prawda — aby tylko nie zabrakło pracujących.

Jak z pierwszych numerów sądzić można »Promień« jest w wypowiadaniu swoich zapatrywań śmielszy, otwartszy, (po galicyjsku: radykalniejszy).

»Promień« w artykule wstępnym stawia sobie za zadanie: »usunąć kwarantannę myśli«, »podsycać uczucia narodowe, potępiając szowinizm«, i »pielęgnować uczucia społeczne«.

Z artykułów na wyróżnienie zasługują:

»O potrzebie organizowania się młodzieży«; piękny swą naiwnością, siłą i pewnością w siebie wiersz K. Ikceldeisa: »Do młodego poety« i praca p. t. »Ze spraw szkolnych«. Autor zastanawia się nad materyałem nauczycielskim i dowodzi szkodliwości systemu biurokratycznego, który niszczy charakter profesorów i przetapia najoporniejsze nawet jednostki na karyerowiczów, urzędników, automatów, kierowanych ręką zwierzchniej władzy.

W »Tece« obok programowego artykułu »Czasopisma młodzieży«, znajdujemy list T. T. Jeża, w którym autor rozwija zdanie, że młodzież ma nietylko prawo, ale i potrzebę i obowiązek wypowiadania swych poglądów; »Rok 1863«, artykuł o »Mowie dzikich plemion, a gwarze dzieci«, dwa wiersze, nowela i kronika dopełniają treści numeru.

Wydawnictwo tych pism i przyjście do skutku »Uniwersytetu ludowego« dzięki inicyatywie akademików lwowskich świadczy o wielkiej dojrzałości społecznej młodzieży. Pisma dla gimnazyastów przez młodzież uniwersytecką wydawane — to unikat w Europie; w społeczeństwach o wyższej cywilizacyi są one zbyteczne; władza ustawodawcza idzie szybciej za rozwojem stosunków i młodzież znajduje wiele innych sposobności i pobudek do kształcenia się. U nas pisma tego rodzaju w życiu młodzieży, szczególnie prowincyonalnej mogą mieć nieobliczalne znaczenie, jeżeli w odpowiedni sposób redagowane będą. W przyszłym numerze »Młodości« szerzej się nad tą kwestyą zastanowię. *— er.*

»Chłopska polityka«.

Na przedstawieniu »Chłopskiej polityki« w teatrze krakowskim aresztowano z powodu »demonstracyi« 5 kolegów i zasądzono dwóch na 5 dni, trzech na 3 dni aresztu. Dokładny opis zdarzenia znajduje się w »Naprzodzie« (numer z 3 marca). Spodziewamy się, że namiestnictwo zniesie wyrok lub zamieni karę aresztu na pieniężną, bo taką w państwach cywilizowanych za »przestępstwa« tego rodzaju się wymierza.

Ruch w krak. tow. akad. w lutym.

W »Czytelni akad.« odczyt kol. Czaplickiego »O poglądach Schopenhauera na miłość«, dyskusya nad uniwersytetem ludowym, zagajona przez kol. Mullera, referat kol. Zauchy i pogadanka nad broszurą Fuchsa »Młodzież polska o sobie«, odczyt kol. Tuszyńskiego o »teoryach powstania snu«.

W »Zjednoczeniu« odczytał kol. Kisielewski V. akt swego dramatu »W sieci«; odbył się wieczorek inauguracyjny; odczyty: kol. Grużewskiego »O materyaliźmie wobec dzisiejszych wyników nauki«, »O teoryi Malthusa« — kol. Macheles. W Kółku ekonomicznem czytanie »Kapitału« Marxa. Z początkiem miesiąca urządziło »Zjednoczenie« *Journal parlé* w sali rady miejskiej.

W »Kółku literackiem« kol. Pusłowski odczytał swój poemat p. t. »Barweny«; kol. Lisowski dwa odczyty p. t. »Hrabia Cavour« i »Władysław Opolczyk«.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ed. Leszcz, Esdros, Nesieref, K. Ob.: Drukować nie możemy.

G. E. M. Druga część wiersza słaba.

Zgett — D. Umieścilibyśmy chętnie — lecz z większym skutkiem dla poruszonej kwestyi połączone będzie wydrukowanie artykułu w »Tece« lub »Promieniu«.

D. M. Sprawa dobrze już znana i była przedmiotem podobnych referatów na wiecach w Krakowie i we Lwowie. Dziękujemy.

A. L. Zurych. Prosimy o przysłanie.

Numer czwarty wychodzi powiększony o trzecią część zwykłej objętości. Począwszy od tego numeru rozszerzamy również znacznie szerokość kolumn dla zwiększenia treści.

Pomyłka drukarska. Adres redakcyi lwowskiej nie Łyczakowska 21 — lecz Zamojskiego 8.

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

„Młodość“



jako jedyne pismo młodzieży polskiej, ma obowiązek odzwierciadlać w sobie ruch młodzieży z pod zaborów i łączyć z krajem ojczystym ogniska młodzieży, studyującej za granicą.

Na wewnątrz zaś, przez bezstronne krytyczno-naukowe rozbieranie kwestyj młodzież zajmujących i przez umieszczanie głosów wszystkich partyj, starać się będzie łagodzić rozdział wśród niej istniejący. Redakcya zaś stojąc na stanowisku zupełnie bezstronnem, powstrzyma się od zaznaczania przy każdym artykule, umieszczonym w „Młodości“, czy zgadza się z nim rzeczowo, czy nie.

Główne te nasze zadania wypełnić możemy tylko przy gorącem i stałem poparciu wszystkich akademików. Do kolegów z prowincyi i zagranicy udajemy się z prośbą o przysyłanie korespondencyi z życia młodzieży polskiej. Przez utworzenie filii redakcyjnej we Lwowie położyliśmy silniejszy fundament pod pismo nasze i prosimy kolegów ze wschodniej Galicyi, aby z wszelkiemi pytaniami i artykułami do niej się zwracali.

Każdy akademik uważać się powinien za współpracownika naszego pisma, a słuszne rady i wskazówki uwzględniać będziemy z wdzięcznością.

Prenumeratorów, których abonament z tym numerem się zakończył, prosimy o szybkie odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

I ROK ZESZYT IV

Cena zeszytu 35 ct.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.